

NA TROPIE

Katowice, 25. X. 1932 r.
Rok V. Nr. 16.

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ
Wychodzi 10-go i 25 go każdego miesiąca



GAWĘDA NACZELNICZKI.

POMÓŻCIE POTRZEBUJĄCYM!

W ubiegłym roku, gdy kryzys gospodarczy i bezrobocie coraz mocniej poczęły gnębić szerokie masy najbiedniejszych, padło w szeregi harcerskie hasło pomocy bezrobotnym.

A nie był to tylko nakaz z góry, wymyślony przez władze naczelne i podany do wykonania drużynom, gdyż akcja niesienia pomocy bezrobotnym została podjęta już przedtem, samorzutnie, we wszystkich Chorągwiach. Wiele drużyn z własnej inicjatywy wzięło się do pracy Komendy Chorągwi zaś zorganizowały ją i poparły. Tak więc ogół harcerski zrozumiał dobrze swój obowiązek i stanął do służby, jaką nakazała potrzeba chwili bieżącej.

Nie minął bezowocnie rok ubiegły, a dziś z raportów i sprawozdań drużyn dowiadujemy się co zrobiono i raz jeszcze utwierdzamy w przeświadczeniu, że nawet przy najskromniejszych środkach materjalnych można zdziałać bardzo wiele samą tylko dobrą wolą i młodzieńczym zapałem.

Opowiem dla ilustracji kilka przykładów z działalności drużyn na polu niesienia pomocy bezrobotnym: oto pewna drużyna zebrała, naprawiła i wyczyściła własnemi rękami kilkadziesiąt sztuk ubrania, płaszczy i obuwia, poczem oddała te rzeczy do rozdania Czerwonemu Krzyżowi. Ta sama drużyna wystarała się o stałe obiady w rodzinach harcerek dla 11 dzieci rodziców bezrobotnych, o śniadania dla 9, urządziła Święcone dwom biednym rodzinom, 28 dzieciom pomagała w nauce, a dwoje z nich zaopatrywała w śniadania i zeszyty. A jest to drużyna szkoły powszechnej w ośrodku górniczo-przemysłowym, harcerki do niej należące nie są więc dziećmi zamożnych rodziców i dokonały tego wszystkiego tylko dzięki dobrej woli i harcerskiej pomysłowości.

Inna drużyna wydaje śniadania w szkole, a zarobione w ten sposób pieniądze umożliwiają ofiarowanie śniadania najbiedniejszym bezpłatnie.

W pewnym mieście wszystkie drużyny hufca przygotowały na Święta Bożego Narodzenia 3.000 paczek dla bezrobotnych, a codziennie harcerki pomagają przy wydaniu 230 obiadów dzieciom biednych rodzin. Gdzieindziej znów własnemi siłami urządzone przedstawienie pozwala na zebranie pieniędzy, które oddaje się na cele pomocy bezrobotnym. Niektóre drużyny zorganizowały warsztaty pracy dla harcerek bezrobotnych.

Wiele takich przykładów możnaby przytoczyć, wiele faktów napozór drobnych, które jednak zsumowane dadzą obraz pokaźnego wysiłku i znacznego dorobku osiągniętego przez harcerki i harcerzy w walce z biedą i ludzką niedolą.

Niech te wyniki staną się podstawą i zachętą do dalszej, jeszcze bardziej wytężonej działalności bo zima która nadchodzi napewno nie będzie lżejsza ani łatwiejsza do przeżycia od poprzedniej. To też mimo wielu napotykanych trudności nie wolno nam ustawać w podjętej pracy, lecz trzeba zbierać grosz do grosza, oddawać swój czas, pracę i serca pełne troski o dolę innych, a wtedy napewno te drobne ziarenka naszych wysiłków zaważą w walce ze smutkiem i nędzą.

Pewno są i takie drużyny, które dotychczas nic nie zrobiły dla bezrobotnych i ich rodzin, które w ubiegłym roku pozwoliły, by przypadające im pole pracy leżało odłogiem — te z podwójną energją niech staną dziś do pracy, pamiętając, że przedewszystkiem od wypełnienia zawartego w naszem prawie nakazu służby bliźnim, zależy wartość naszego harcerskiego życia.

J. Wierzbiańska

WZRASTAMY W SIŁĘ.

900 OBOZÓW! Urządziliśmy podczas wakacyj 900 obozów mimo kryzysu i wszystkich związanych z nim trudności. — Subwencje tegoroczne zostały całkowicie wstrzymane lub znacznie zmniejszone, a prywatne fundusze tak ograniczone, że — zdawało się — młodzież nie będzie za co miała na obozy wyjechać. A tymczasem odbyło się o przeszło 300 obozów więcej, niż w roku ubiegłym, wzrosła też odpowiednio cyfra harcerek i harcerzy, którzy przeszli przez obozy oraz ilość „harcerzodni" t. zn. ilość dni spędzonych w obozach pomnożona przez ilość ich uczestników.

Świadczy to o naszej mocy o wielkiej naszej żywotności, która potrafi przełamać wszelkie przeszkody, by zaspokoić istotne potrzeby naszej pracy.

— W porównaniu z rokiem zeszłym, wzrosła ogromnie liczba naszych obozów. Ale i liczba ogólna harcerek i harcerzy wzrosła niepomiernie i — co więcej — rośnie z dnia na dzień, z godziny niemal na godzinę. Są chorągwie, których stan podniósł się w stosunku do poprzedniego roku o 60%! Niesłychany wprost napływ młodzieży do naszych szeregów wróży nam świetną przyszłość, daje nam możliwość utworzenia z naszego Związku najpotężniejszej organizacji młodzieży. W szlachetnej rywalizacji różnych związków w pracy nad młodzieżą, pozwala nam pozostać bez lęku o pierwszeństwo.

Trzeba nam tylko jednej rzeczy: **odwagi!** Nie możemy obawiać się tego rozrostu, nie możemy stanąć bezradnie wobec mas, które do nas napływają. Wzmocnijmy się myślą o naszej akcji obozowej. **Rzecz, która zdaje się być niemożliwą, jeśli staje się koniecznością Związku, spełniona być musi.** Niech każdy z nas zrobi, co w jego jest mocy, aby napływające szeregi nowicjuszów opanować, aby w Związku ich utrzymać, aby pracy ich nadać charakter prawdziwie harcerski — a harcerstwo stanie się mocnym filarem siły moralnej polskiego społeczeństwa.

Wszyscy przeczytajcie!

*Liczni czytelnicy wciąż zgłaszają się do Administracji z prośbą o poprzednie numery naszego pisma. Jeszcze raz więc zawiadamiamy, że **wszystkie numery pierwszego półrocza 1932 r. są całkowicie wyczerpane.** Przyjmujemy prenumeratę **tylko za II. półrocze.** Również **wyczerpane są wszystkie poprzednie n-ry „Zastępowego".** Wobec niniejszego ogłoszenia na kartki i listy, w sprawie nadesłania poprzednich numerów osobno odpowiadać **nie będziemy.***

Ze świata skautowego.



Podczas „tygodnia skautowego" w Ameryce chłopcy sami prowadzili ruch uliczny w wielu punktach miasta Filadelfji. Skaut, którego widzimy na fotografji, nosi nazwisko — Surowiec. Wskazuje ono wyraźnie na polską narodowość chłopca.

W CHARBINIE (MANDŻURJA) istnieją drużyny skautów japońskich chińskich, żydowskich, rosyjskich i polskich. Młodzież, zorganizowana przy Y. M. C. A. w t. zw. związek „Kostrowych braterstw" pracuje również metodami badenpowellowskiemi. Wszystkie wymienione związki wykazują ostatnio dążność do współpracy i mimo różnic politycznych, dzielących poszczególne narodowości, urządzają w harmonji i zgodzie wspólne uroczystości.

W DRODZE RADJOWEJ będą podawane rozkazy na Jamboree w Gödöllö.

W WYPRAWIE POLARNEJ BYRDA w latach 1928/30 brał udział skaut amerykański, Paul Siple. Obecnie po ukończeniu studjów uniwersyteckich, został on ponownie zaangażowany przez Byrda na nową wyprawę do bieguna południowego.

SKAUCI ANGIELSCY tak masowo wykorzystują końcówki tygodnia na urządzanie wycieczek, że przez cały lipiec i sierpień stacja Waterloo rezerwowała specjalny pociąg dla skautów, który odwoził ich do Sauthampton, skąd znów zarezerwowanym dla siebie parowcem „Princess Ena" udawali się do Jersey.

BERNARD SHAW, sławny dramaturg i powieściopisarz, odwiedził raz drużynę rowerów z Hertfordshire i rozmawiał z chłopcami na temat wycieczek i obozowania. Otóż jego zdaniem nie powinno się obozować pod namiotami, jeśli jest sposobność zakwaterowania się u kogokolwiek w okolicy, a także dziwne mu się wydało, że skauci zabierają ze sobą prowiant lub kupują go w drodze, zamiast korzystać z gościnności pierwszego lepszego zamożniejszego człowieka w okolicy obozu. Za parę dni powróciwszy do domu, zastał Bernard Shaw, u siebie zakwaterowaną drużynę, która najspokojniej korzystała z pokojów i kuchni. Podobno ubawił się tem doskonale, — ale być może przyszedł też do przekonania o niezupełnej słuszności swych poglądów na obozowanie.

„GRAF ZEPPELIN" lądując ostatniemi czasy w Anglji, był obsłużony przez drużyny rowerów z Middlesexu. Lądowanie tak dla Zeppelina ciężkie, poszło tak wyśmienicie, że zachwycony właściciel i kierownik aparatu dr. Eckener odjeżdżając do Niemiec, zabrał ze sobą na spacer jednego, wybranego losem rowera z Middlesexu i odesłał go z powrotem do Anglji pociągiem na własny koszt.

2000 SKAUTÓW BUDAPESZTEŃSKICH urządziło 18 października wielką grę wojenną. Niebiescy walczyli z żółtymi. Każdy miał na kapeluszu numer a na podorędziu kilka śmiercionośnych pocisków, tj. piłek gumowych. Kto dostał piłką lub nieostrożnie pokazał swój numer wrogowi, tak że ten go odczytał — był trup i szedł się nudzić. Bitwa była zacięta, ale strony obie równie dobrze wyćwiczone, skutkiem czego nie zwyciężył nikt. Wieczorem pięć specjalnych pociągów odwiozło zupełnie już pogodzonych ze sobą wrogów do domu. — (Vörösvary).

Fragment ćwiczeń widzicie na str. 11 niniejszego numeru.

75 DRUŻYNA Z SELFORDU umieściła na swoim domku skrzynkę z napisem: „Każdego, ktokolwiek potrzebuje w czemś naszej pomocy, prosimy by zawiadomił nas o tem. — wrzucając do skrzynki list i umożliwił nam w ten sposób spełnienie dobrego uczynku". — Skrzynka cieszy się powodzeniem, a pomysłowi skauci zyskują uznanie całego miasta.

POŁUDNIOWY OBÓZ WODNY otwarty został dla wodnych skautów węgierskich. Jest to drugi stały obóz wodny ze wszystkiemi urządzeniami, jak pływalnie, mieszkanie dla wycieczek, stałe pomieszczenie kursów, szopy na łodzie itd. Obóz ma stałego komendanta. Pierwszy taki obóz, o którym swego czasu pisaliśmy w „Na Tropie" jest w Budapeszcie na t. zw. „Wyspie Ludowej". Parki łodzi stałych obozów liczą ponad 400 jednostek wodnych. — (Vörösvary).

34 SKAUTÓW ORLICH ze Stanu Płn. i Płd. Dakoty wybudowało nową ścieżkę w Parku Narodow. Itasca, który przytyka do jeziora, skąd bierze swój początek Missisipi. Już od trzech lat wyjeżdżają oni stale na letnie miesiące do wspomnianego Parku, a budując każdorazowo duże partje ścieżek uprzystępnili Park szerokim rzeszom publiczności.

BARDZO CIEKAWĄ jest historja zastępu skautowego założonego wśród robotników przez jednego z inżynierów, budujących najwyższą tamę świata w Owyhee, która tworzy zbiornik nawodniający 132.000 akrów. Zastęp ten stworzyła budowa tamy. Jak długo trwały prace zastęp był w pełni rozwoju. Dziś tama gotowa i zastęp musi się rozpaść, bo członkowie jego rozchodzą się w różne strony kraju za nową pracą.

MICHAŁ SIEDLECKI.

ZODJAK NA PUHARZE.

OPOWIEŚĆ Z KRAINY SŁOŃCA.



12) IX.

Trzęsienie ziemi i wybuchy już się nie powtórzyły, ale ani Jasiek, ani Udjan nie mogli się wydostać z hoteliku jeszcze przez trzy dni, bo błoto wulkaniczne choć płytkie, było jeszcze zbyt grząskie i zbyt gorące Szczęściem przechodziły obfite ulewy, więc nie brakło wody do picia a w hoteliku znalazło się trochę ryżu gotowanego i parę puszek konserw. Starzec co chwila błogosławił Jaśka ten zaś ciągle miał ochotę powiedzieć mu o świętym puharze, spoczywającym tuż obok w walizie, ale brakło mu na to odwagi.

Czwartego dnia, wcześnie rano Udjan usłyszał jakieś głosy tuż przy hotelu. Zerwał się i zbudził Jaśka. Wybiegli obaj na ganek i zobaczyli van Toorpa i kilku krajowców Wszyscy mieli wysokie buty rybackie na nogach, aby uchronić się od ciepłego jeszcze i przepojonego siarką błota.

— Więc żyjecie!? — krzyknął van Toorp. — Przyznam się, że bałem się wejść do hotelu. Nawet nie przypuszczasz, ile zwłok leży w chatach, a wszystkie noszą ślady uduszenia gazami. Ale Dżesik, jak ty wyglądasz. Schudłeś, zczerniałeś... musisz zaraz wracać z nami. A to kto taki? — zapytał nagle widząc starego Llanaka wychodzącego na ganek.

— Wyobraź sobie — odpowiedział Jasiek, że to jest rodzony brat starego Nala, także kapłan. Wziąłem go do hotelu, bo nie mógł uciekać przed laharem. Teraz ciągle mnie błogosławi, gdyż utrzymuje, iż mu uratowałem życie; tymczasem zrobił to koc na jego głowie, pokropiony amonjakiem, taksamo jak i nasze koce...

Van Toorp spoważniał.

— Wiesz Dżesik — rzekł po chwili — ten człowiek może nam być bardzo potrzebny. Przychodzę do wniosku, że tobą opiekuje się Bromo... Ale chodźmy stąd, bo tu niema co robić. Przyprowadziłem gromadkę kulisów; ci zabiorą twoje i moje rzeczy. Staruszka poniesiemy w hamaku, zaś dla ciebie i Udjana mam wysokie buty.

To mówiąc wyszedł na ganek. Kulisi i Udjan zabrali się do pakowania i nie minęła godzina, a cały pochód sunął ku równinie i wnet wydostał się poza obręb okolicy zniszczonej przez wulkan.

Po drodze van Toorp opowiedział Jaśkowi że podczas wybuchu zginęło dość dużo ludzi, którzy nie chcieli opuścić dobytku. Przeważną część mieszkańców udało się jednak uratować; teraz ekspedycja rządowa żywi ich i przesiedla w bezpieczniejsze okolice, gdyż można się obawiać nowych wybuchów wulkanu. Jasiek dopytywał się też, czy niema jakich wiadomości o starym Nalu.

— Są — rzekł van Toorp — ale nie dobre. Stary kapłan wrócił prędzej, niż przypuszczano. Ardju i obaj biali handlarze powiedzieli mu, żeś to ty, Dżesiku kochany, ukradł puhar ofiarny. Nal o mało nie zabił się z rozpaczy ale teraz jedynie dyszy żądzą zemsty na tobie. Z nim razem cały lud Tengerezów pragnie cię ukarać Nie masz się tam poco teraz pokazywać, choćby nawet z puharem, bo i tak skazanoby cię za świętokradztwo. Najlepiej będzie, jeśli pojedziesz po swych chłopców do Surabaja i z nimi razem udasz się do Batawji lub gdzieś jeszcze dalej. Ja tutaj tymczasem przy pomocy Llanaka załatwię sprawę puhara i oddam go Nalowi.

Smutno się Jaśkowi zrobiło, ale musiał uznać słuszność rady van Toorpa. Toteż, kiedy doszli do pierwszej większej wsi, gdzie można było nająć konie, przebrał się tylko, wykąpał i zaraz wyruszył do najbliższej stacji kolejowej, aby się udać na spotkanie synów. Kuferek z puharem oddał w ręce van Toorpa

*

Surabaja jest wielkim portem, ma ogromny ruch statków, ale też i całą dzielnicę przy porcie, w której nierzadko gnieżdżą się szumowiny społeczne wszelkich narodów. Jasiek dojechał do miasta wieczorem i dowiedział się, że tegoż dnia około południa przybył z Singapur statek „Bintang“, na którym mieli być jego synowie. Choć już było ciemno, natychmiast pojechał do portu i udał się na ten parowiec, stojący tuż przy brzegu.

Wszedł po kładce na pokład i spotkawszy oficera przedstawił mu się i zapytał o chłopców. Oficer spojrzał na niego zdumiony i zaprowadził go do kapitana. Jasiek ponowił swoje pytanie.

— Jakto? — rzekł kapitan — pan jesteś ich ojcem? Ależ, to jakaś pomyłka... Dziś skoro tylko statek przycumowano do brzegu, przyszło dwóch bardzo poczciwie wyglądających Malajów z listem od pana... Czekajno pan... ot, tu jest ten list... — i podał Jaśkowi papier.

Jasiek, drżąc przeczytał:

„Panie, kapitanie, proszę łaskawie oddać obu moich chłopców pod opiekę moich służących; jestem słaby i leżę w willi za miastem. Służący mają auto i przewiozą dzieci do mnie. Rzeczy ich proszę zostawić na statku, jutro wszystko odbiorę.“ — Podpis był: Jan Piotrowski, list cały był pisany po niemiecku...

Jaśkowi pociemniało w oczach Cały list był sfałszowany. Ktoś porwał mu chłopców! Ale kto, poco i dokąd?

Kapitan spostrzegł że z jego gościem dzieje się coś złego. Jasiek zdołał się jednak opanować i dość spokojnie wypytał o szczegóły. Postanowił też zaraz dać znać do policji i rozpocząć poszukiwania. Kapitan przyrzekł swą pomoc.

Chwiejnym krokiem zszedł Jasiek z kładki i udał się do hotelu. Przechodził właśnie przez wąską uliczkę, słabo oświetloną Nagle otrzymał uderzenie w głowę i równocześnie poczuł, że nasunięto mu worek na głowę i pochwycono ręce. Próbował się jeszcze wyrwać, ale pociemniało mu w oczach i padł zemdlony.

X.

Jasiek obudził się pod wpływem świeżego i dość chłodnego powietrza. Otworzył oczy i zdawało mu się, że śni, ale usłyszał koło siebie ciche szepty. W głowie czuł trochę bólu. Chciał się poruszyć, lecz poczuł, że ma ręce i nogi związane. Uniósł nieco głowę i spostrzegł, że leży w hamaku, zawieszonym na długim bambusie, którego oba końce były zaczepione o gałęzie drzew. Rzucił oczyma na prawo i lewo i dostrzegł, że jest w lesie. Koło niego płonęło małe ognisko, wokół którego siedziała liczna gromada biało ubranych Tengerezów. Usłyszał znów cichy szept: „Już nie śpi — trzeba iść dalej“ Po barwie nieba zauważył, że już był świt.

Jakiś stary krajowiec zbliżył się do niego i rzekł:

— Nie krzyczeć, bo zawiążemy usta! — potem powiedział parę słów do ludzi siedzących przy ognisku. Jeden z nich wstał i podsunął rozcięty orzech kokosowy. Jasiek wypił chłodny i orzeźwiający płyn z wielką ochotą i zaraz uczuł się mocniejszym.

Teraz wszyscy powstali; czterech tęgich chłopaków ujęło oba końce bambusa i poniesiono Jaśka dalej. Droga wiodła przez las. Świt zawsze tylko krótko trwający, ustąpił miejsca jasnemu światłu dziennemu. Po krótkim marszu las się skończył i pochód stanął nad brzegiem dość wysokiego urwiska. Jasiek o mało nie krzyknął ze zdziwienia — przed nimi była płaszczyzna, z której wznosił się wulkan Bromo...

Cała równina u stóp wulkanu była pełna biało ubranych Tengerezów. Na szczycie niskiego stożka wulkanicznego duża biała chusta była zawieszona na dwóch wbitych w ziemię bambusach; z poza niej przeglądało małe rusztowanie.

(Dokończenie nastąpi).

HELENA ZAKRZEWSKA.

GROSZ DO GROSZA.

Błądząc często nad ulubionemi brzegami zielonej Marny, w okolicach Paryża, zauważyłam na stoku wzgórza, w pobliżu pewnej robotniczej kolonji, maleńki domeczek z miniaturowym, ładnie utrzymanym ogródkiem. Całość, mimo widocznego ubóstwa, robiła wrażenie tak harmonijne i schludne, że mimowoli zatrzymałam się raz, żeby nasycić oczy tym miłym widokiem. Nad bramą domku widniał napis: „Sou par sou". (Grosz do grosza). Patrząc w zamyśleniu na tę maleńką posiadłość, zauważyłam, że właściciele jej nietylko grosze do grosza musieli składać, aby ją nabyć! Wszystko tam było składane. Każde okienko, każda ścianka były inne, różniły się nietylko materjałem ale i sposobem wykonania. To samo można było zauważyć w płocie, otaczającym ogródek, a nawet w paru grządkach, z których jedne były już starannie zasadzone a inne czekały jeszcze na swoją kolej, puste, ale gotowe do wydania z siebie najpiękniejszych kwiatów czy jarzyn.

Byłam oczywiście ciekawa, kto mieszka w tym domku krasnoludków i czyja troskliwa i kochająca dłoń wzniosła, grosz po groszu i rok po roku tę miłą, słoneczną przystań. Nie wątpiłam ani na chwilę, że było to dzieło miłości, podyktowane czemś więcej, aniżeli zwykłym zmysłem francuskiej oszczędności, takiem ciepłem promieniował malutki, z kawałków zlepiony domeczek, przytulony do zielonego wzgórza nad najpiękniejszym zakrętem Marny. Nagle drzwi od domku otworzyły się i ukazała się w nich maleńka sześcioletnia dziewczynka. Dziecko było bledziutkie i tak wątłe, jak bywają dzieci w dzielnicach robotniczych Paryża. Cieniutkie kosteczki, skóra niemal przeźroczysta, świadczyły wymownie o tem, że pierwsze swoje dzieciństwo biedna maleńka spędziła w jakimś ciemnym i pozbawionym powietrza zaułku Paryża. Świadczył o tem także wyraz zachwytu i bezgranicznego szczęścia, jaki rozlał się na twarzy dziewczynki na widok słońca, zieleni, kwiatów i tej ciemnozielonej wstęgi wodnej, lśniącej na zakrętach i pluszczącej słodko u brzegów. Widocznem było, że dziecko nie przyzwyczaiło się jeszcze do piękna przyrody i że każde zetknięcie się z jej cudami było dla niego czemś wzruszającem i ciągle nowem.

Dziewczynka niosła z powagą stary, wypełzły koc i poduszkę w poszewce z kraciastego perkalu. Wybrawszy miejsce starannie, tak, żeby słońce nie paliło nad miarę — cień rzucany przez nadbrzeżną topolę wybornie się do tego nadawał — mała rzuciła niecierpliwe spojrzenie na drzwi domku i zawołała:

— Pierre! (Piotrusiu) chodźże już! czemu tak marudzisz?

— Już idę! — odpowiedział jej z głębi domku wesoły głos chłopięcy.

We drzwiach ukazał się chłopczyk dziewięcioletni, niosący stary i bardzo zniszczony fotel słomiany. Dno fotelu przedstawiało istną mozaikę sznurków, a nawet łat kolorowych, ale mimo to nadawało się jeszcze doskonale do siedzenia.

Dzieci postawiły fotel w cieniu, tak, że słońce muskało go tylko zlekka i pobiegły do domku. Za chwilę wyprowadziły zeń troskliwie kobietę młodą jeszcze, ale tak bladą, że zdawała się nie mieć kropli krwi w twarzy. Od tej przeźroczystej bladości dziwnie odbijały włosy kruczej czarności i ogromne czarne oczy, głęboko wpadnięte i otoczone ciemnemi kołami. Ale i na tej bladej, schorowanej twarzy dostrzegłam wyraz, zupełnie taki sam, jaki ożywił rysy dziewczynki z chwilą, kiedy spojrzała wokoło: wyraz zachwytu i szczęścia, lękliwy i prawie pokorny, jakgdyby wezbrany słowami:

— Mój Boże, i to ja, ja także mam prawo do oglądania tego bezmiaru piękna?

Dzieci usadowiły chorą w fotelu, otuliły jej nogi kocem, dały jej do rąk koszyczek z robotą, ucałowały ją serdecznie a potem pędem wybiegły z ogródka, nad wodę, do budowy rozpoczętego pałacu z piasku, w nadbrzeżnej łasze. Kobieta spojrzała w górę na błękitne niebo, długiem i pełnem zachwytu spojrzeniem objęła cudny, pełen barw i blasków krajobraz, a potem mimowolnym gestem wdzięczności bez granic splotła ręce, przechyliła głowę w tył i, przymknąwszy oczy, zaczęła się modlić. Na bladym policzku zalśniła łza. Toczyła się wolno i spadła na źdźbło trawy, kołyszące się sennie koło fotelu. Uczułam, że obecność moja w tej chwili jest niejako świętokradztwem i oddaliłam się szybko, w obawie, żeby chora, zauważywszy mnie, nie odczuła przykrości, że ktoś niepowołany był świadkiem jej wzruszenia.

Odtąd jednak często skierowywałam moje przechadzki w stronę maleńkiego domku. Zajmował mnie i pociągał z niepisaną siłą. Chciałam wyczytać historję jego mieszkańców z każdej cegły, z każdej deseczki w ścianie, pytając ich, jakim cudem stanowią tak harmonijną i promienną całość. Odpowiedź na moje pytania przyszła nieoczekiwanie pewnej niedzieli. Przez cały ranek padał ulewny deszcz. Paryż tonął w szarej, zimnej mgle. Nagle, koło piątej popołudniu zabłysło cudnie słońce. Nie namyślając się długo, namówiłam towarzyszkę moją na ulubioną przejażdżkę i w niespełna godzinę byłyśmy już nad Marną. Słońce przygrzewało mocno, wypijając z asfaltowej szosy kałuże wody. Marna pluskała wesoło, na wodzie roiło się od łódek żaglowych i motorowych. Lekkie kajaki przemykały się sprawnie środkiem rzeki. Szłyśmy powoli nad brzegiem, poddając się urokowi nadchodzącego wieczoru. Wesoły śmiech przerwał naszą zadumę. To z domku „Sou par sou" wybiegła nagle rozswawolona gromadka młodzieży i pędem wypadła na drogę. Piotruś, typowy łobuz paryski, porwał komuś jakiś ważny widocznie przedmiot i uciekał, co miał sił a za nim z krzykiem i chichotem pędziło parę młodych postaci. Piotruś wpadł na mnie z takim impetem, że o mało oboje nie runęliśmy na ziemię. Okrzyki przestrachu i zamieszania rozległy się w gromadce, która nagle zatrzymała się jak wryta. Jednym rzutem oka objęłam ich wszystkich. Był tam dwudziestoletni chłopak, o wyglądzie lepszego robotnika. Młodsza od niego, czarnowłosa dziewczynka, żywa i zgrabna, niezmiernie podobna do chorej kobiety. Czternastoletni wyrostek o typowym wyglądzie hamelota (sprzedawacza gazet) paryskiego. Wreszcie dwoje małych, których dobrze znałam już z widzenia.

Najstarszy brat przeprosił mnie grzecznie za nieuwagę malca. Skorzystałam z tego, żeby powiedzieć mu parę miłych słów na temat domku i ogródka. Młodzi wysłuchali komplimentów z tak widoczną radością — tembardziej że pochodziły one od cudzoziemki — że niewiadomo jak i kiedy wywiązała się żywa rozmowa. Towarzyszka moja opowiedziała im, jak żywo interesuje mnie nazwa domku i jak bardzo chciałabym poznać jego historję. I oto, czego się dowiedziałam.

Było ich pięcioro — i matka. Ojciec był funkcjonarjuszem w kolonjach. Tam ożenił się z młodą dziewczyną, urodzoną i wychowaną pod gorącem niebem równika. Wiodło im się nieźle, ale ojciec chorował na febrę. Nie mógł znieść klimatu. Wrócili do Francji i zamieszkali w Paryżu. Ta nagła zmiana nikomu na dobre nie wyszła. Ojciec zmarł, wydawszy na chorobę wszystkie swoje oszczędności. Z kolei matka ciężko zapadła na zdrowiu. Lekarze nie mogli rozpoznać jej choroby. W ponurym i ciemnym zaułku Paryża więdła, jak kwiat bez słońca.

— Żeby pani znała ją dawniej! — mówił najstarszy chłopak. — Była żywa i wesoła, jak ptaszek. Piosenka nie schodziła jej z ust. Robota paliła jej się w rękach. I nagle wszystko się zmieniło. Wzywaliśmy różnych doktorów. Radzili żeby odesłać ją do kolonji. Ale nie mamy pieniędzy na drogę, a przytem ona nigdyby się nie zgodziła na rozstanie z nami. A my polubiliśmy Paryż i nienajgorzej nam się tu wiedzie.

Więc parę lat temu, po długiej naradzie postanowili matkę z małymi ulokować za miastem, w jakiemś miejscu słonecznem i pełnem powietrza, w nadziei że to przywróci jej siły. Wzięli się wszyscy do pracy z gorliwością bez granic. Najstarszy syn jest robotnikiem w warsztatach mechanicznych. Skończył szkołę zawodową jeszcze za życia ojca. Siostra jest szwaczką w Luwrze. Ma wybitne zdolności do krawieczczyzny i, poza pracą w magazynie, zaczyna nieźle już zarabiać, szyjąc wieczorami w domu na własny rachunek. Czternastoletni brat jest terminatorem w dużym warsztacie

---

Pamiętajcie

o tem, że 31. października, to międzynarodowy dzień oszczędności. Już sam fakt, że wszystkie państwa zdołały się porozumieć i ustalić wspólną akcję propagandy oszczędności — świadczy najdobitniej, jak wielką wagę przykładają ekonomiści świata do oszczędności, jako jednego z najważniejszych środków zwycięźenia kryzysu.

Harcerka i harcerz są oszczędni... Pomyślcie, jakby przyłożyć swoją cegiełkę do powszechnej odbudowy dobrobytu!

DR. FRITZ von MOLNAR.

TON — KA — KUU.

Komisarz zagraniczny Węgler, dr. F. de Molnar, odbył w czasie lata z ramienia Międzynarodowego Biura Skautowego podróż po Ameryce. Na prośbę „Na Tropie" nadesłał on stamtąd oryginalną korespondencję, którą poniżej zamieszczamy

Mr. Milton C. Guggenheimer, prezydent amerykańskich skautów w Buffalo, jest jednym z takich ludzi, co całą duszą oddani są skautingowi. Od szeregu już lat pracuje dla ruchu i miał niecodzienną przyjemność własnoręcznego udekorowania swojego syna najwyższem odznaczeniem organizacji amerykańskiej „Eagle Scout Badge", czyli odznaką „Orła", nadawaną po złożeniu 21 specjalnych prób. Jest to w Ameryce wyłączny przywilej ojców, a w danym wypadku tak się złożyło, że dumny ojciec był zarazem naczelnikiem oddziału buffalowskiego.

Otóż pan Guggenheimer, który dla skautingu powiesił swe prywatne interesy na kołku, przyjął mnie w Buffalo bardzo serdecznie i własnem autem zawiózł do wspaniałego obozu, leżącego około 60 kilometrów za miastem, do „Scouthaven".

W czasie drogi rozmawialiśmy oczywiście o skautingu wogóle a o planach na najbliższe Jamboree w szczególności. Uprzejmy pan udzielił mi też licznych informacyj o obozie, do którego zdążaliśmy.

„Jaka szkoda — powiada w pewnym momencie. — że święto Ton-Ka-Kuu, święto „dobrego indjanina" odbędzie się w obozie dopiero w przyszłym tygodniu. Z pewnością zainteresowałoby pana. Wiadomo panu zapewne, że my tu w Stanach Zjednoczonych, duży kładziemy nacisk na romantykę indjańską. — Chcemy zachować tradycję pierwotnych mieszkańców tego kraju. Te święta w Scouthaven łączą romantykę indjańską z ważnym czynnikiem wychowawczym: poznawaniem siebie samego i uczeniem się wydawania o sobie samym sądu".

Na moje prośby udzielono mi dokładniejszych informacji o tem święcie. A są ich dwa rodzaje. Mniejsze, ale pedagogicznie ważniejsze, odbywa się na zakończenie każdego dwutygodniowego okresu obozowania.

Chłopcy obozujący w Scouthaven nie koniecznie muszą pozostać w ramach swego oddziału. Zwykle kierownictwo obozu dzieli wszystkich przybyłych dowolnie na plemiona, czy wsie. Otóż trzynastego wieczora obozu zbiera się plemię uroczyście w miejscu ogniska. Ogień narazie nie płonie i wszyscy siedzą milcząco w kole: myślą o tem czy przez czas pobytu w obozie żyli zgodnie z prawem i przyrzeczeniem skautowem.

Po pewnym czasie, w pełnym rynsztunku bojowym wodza, ukazuje się Ton-Ka-Kuu, dobry Indjanin, i zapala ogień. Twarz jego całkowicie pomalowana nie zdradza tajemnicy, kto to jest. Nikt nie wie, kto jest ten, co cicho wszedł, zapalił ogień i wnet, okryty tajemnicą, odejdzie. Zwykle jest to jeden z młodszych członków kierownictwa obozu.

Ton-Ka-Kuu wywołuje z kręgu po kolei chłopców i pyta ich wodzów i towarzyszów, czy był on w obozie dobrym skautem. Jeśli odpowiedź jest przychylna, krzyczą wszyscy „Howgh", — „Howgh". Później pyta samego chłopca. Teraz ma chłopiec na podstawie poprzedniego zastanowienia się nad samym sobą, nie zważając na pogląd innych, odpowiedzieć wedle własnego sumienia „tak" lub „nie". Jeśli i on powie „tak", otrzymuje specjalną odznakę. Jeśli odpowie „nie" pozostaje wraz z innymi, którzy dali tę samą odpowiedź, na cichą rozmowę z Ton-Ka-Kuu po skończeniu ogniska.



Ubiegłego lata 120 skautów węgierskich trenowało na terenie Zlotu w Gödöllö loty szybowcowe. Łącznie odbyli oni bez wypadku 1000 lotów. Na ilustracji widzimy jeden z szybowców, zwany „Gödöllö"

Każdy amerykański stały obóz posiada dużą ilość stałych budynków i innych urządzeń uprzyjemniających i upiększających życie obozowe. Mieszczą się w nich kancelarje obozowe, muzeum, kuchnia, jadalnia, śpiżarnia itd. — Scouthaven posiada na pewnej przestrzeni dostęp do wybrzeża morskiego, w obrębie którego mieści się basen kąpielowy i zabudowania portowe dla łodzi. Od strony lądu sięga góry Kamm, gdzie w lesie rozrzucone są „wsie".

Poszczególne okresy obozowania, trwające po dwa tygodnie, ciągną się przez całe lato. Przez ten czas wszystkie obozy korzystają z stałych urządzeń. Ale przed upłynięciem przedostatniego obozu, przed nadejściem zimy, wszystko musi być zwinięte.

I wtedy odbywa się wielkie święto „dobrego Indjanina".

Członkowie wszystkich wsi zbierają się na wspólne ognisko i siadają półkolem, tak że mają otwarty widok na morze. Ogień nie płonie; w ciszy wszyscy zatapiają się w sobie. Nagle na dalekim przeciwległym brzegu bucha płomień. Potem drugi na zboczu wzgórza i trzeci na szczycie. Po chwili gasną w odwrotnej kolejności. Na ciemnej, cichej wodzie słychać plusk wioseł. Potem skrzyp piasku pod wyciąganą na ląd łodzią. W kręgu zapala się małe światło. Jakby odzewem: drugie, na brzegu. W jego świetle, w pełnej okazałości ukazuje się Ton-Ka-Kuu, który właśnie przybył łodzią.

Zwięźle, treściwie, ale w kwiecistym stylu indjańskim mówi o obozie. Później następuje poprzednio opisana uroczystość, w czasie której rozdawane są odznaki za obozowanie. Następnie występuje z kręgu kierownik obozu i prosi Ton-Ka-Kuu, by życzliwą otaczał opieką obóz przez czas snu zimowego, aż się drzewa świeżą okryją zielenią i obozownicy znów nadciągną, by lato spędzić w radości dzielnego życia.

Dobry Indjanin przyrzeka, gasi swój ogień i cicho na swej łodzi odpływa na czarną głębię.

---

obuwia, poza tem sprzedaje gazety. Nawet mały Piotruś zarabia już kilkadziesiąt franków miesięcznie, pomagając staremu posłańcowi w roznoszeniu depesz.

— Przez trzy lata odmawialiśmy sobie każdej przyjemności, każdego niepotrzebnego wydatku — mówi wesoło ładna Fanetka. — Nie przyszło nam to z trudem, bo radość z każdego odłożonego grosza wynagradzała nam stokrotnie nasze drobne ofiary. Były to wprawdzie tylko grosze ale z nich pod koniec roku urosła sumka, którą mogliśmy już dać jako pierwszą ratę za ten kawałeczek ziemi tutaj. Zarządca kolonji robotniczej, dobry człowiek, pomagał nam radą i doświadczeniem.

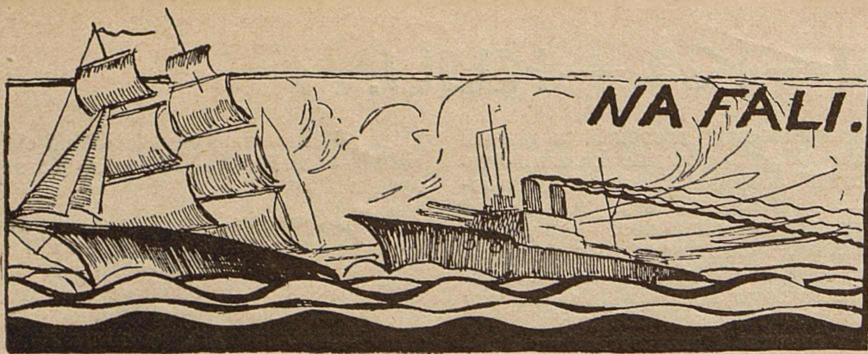
— A wie pani — wtrącił się do rozmowy Piotruś. — Myśmy umyślnie wybrali to miejsce, żeby mama widziała z okna wodę i łódki, dużo łódek. Żeby jej to przypominało zatokę, nad którą wyrosła. Mama mówi, że sam ten widok ją uzdrawia.

— A domek to zbudowaliśmy sami, własnemi rękami! — pochwalił się czternastolatek. — Pomagał nam jeden stary cieśla i on dyrygował nami przy układaniu dachu bo to było najtrudniejsze. Zresztą wszystko zrobiliśmy sami.

— Co tydzień przynosimy nasze oszczędności i naradzamy się, na co teraz przychodzi kolej. W ten sposób z tygodnia na tydzień uzupełniamy nasze gospodarstwo. Mama mieszka tu, już od kwietnia i widocznie się poprawia. Teraz zaczyna się już krzątać po domu, jak dawniej. I to wszystko stało się za grosze! Sami nieraz dziwimy się temu! — mówili starsi.

Po serdecznem pożegnaniu odeszłam zamyślona i... trochę smutna. Grosz do grosza! Och, to nie to, to nietylko to! To nie sama pusta oszczędność. Jest w tem coś więcej jeszcze. Jest ogromna siła twórcza uczucia, która sprawia, że nawet najbiedniejsza istota jeszcze potrafi sobie od ust odjąć, żeby najdroższych swych wydźwignąć z biedy i choroby i stworzyć im lepsze warunki bytu. Oszczędność oparta o dwa niezachwiane filary: o serce i o zdrowy rozsądek.

Czy my się tego kiedy nauczymy?



Hallo! Drużyny Wodne!

W chwili „poboru".

Jesień jest tym okresem, w którym młodzież najliczniej wstępuje w szeregi harcerskie.

Drużyny żeglarskie chwilę tę również przeżywają, a wynik „poboru" bezwątpienia odbije się na późniejszej pracy zastępów.

„Nowonie" szczególnie w wieku po 16 latach, bardzo chętnie garną się pod bandery drużyn żeglarskich. Jedni są pod wpływem zlotu, drugich ściąga ciekawość innych „moda". Są i tacy, których pociągają dalekie i śmiałe wyprawy po rzekach Polski i po Bałtyku. Mundur żeglarski również ma wielu zwolenników. — Więc rosną wodne drużyny.

„Nowicjusze" są chciwi wrażeń, widzą przed sobą szerokie perspektywy, niebywałych w ich życiu wydarzeń, niebezpiecznych przygód możliwość żeglugi oraz uprawiania sportów wodnych.

Przychodzą z głęboką wiarą w siebie, są posłuszni, karni, chętni do wszelkiej pracy. Żżywają się silnie w zastępach i po pewnym czasie automatycznie stają się „starymi" harcerzami.

Czy długo pozostaną w harcerstwie ci chłopcy, którzy przyszli w tym roku, aby z Wami pracować?

Zadajcie sobie to pytanie Wy „starzy" harcerze który tkwicie już kilka lat w naszej organizacji.

Przypomnijcie swój „biszkoptowski" okres, Wasze przeżycia, zapał, entuzjazm, no i te niemiłe chwile zwątpienia, krytyki, może nawet czasami rozczarowania.

Dobrze zapamiętajcie co Wam się najbardziej podobało i czego „nieznosiliście" w czasie swej służby w drużynie.

Myśleć o tem musicie, bo w harcerstwie młodzi prowadzą młodych, a Wy „starsi" służbą — macie przecież przewodzić tym, którzy przyszli do harcerstwa z wiarą w Was i Wasze ideały z zapałem i chęcią do spełnienia wszystkiego co Wy rozkażecie.

* * *

W drużynie poznacie przyjaciół. Przyjaciół, których znajdziecie przy wspólnych czasami nawet ciężkich przeżyciach i pracy. Przyjaciół, z którymi mokliście pod jedną płachtą namiotową, jedliście z jednego kotła przepaloną kaszę i razem ciągnęliście hol po kamienistym wybrzeżu.

Spójrzcie wokoło siebie a zaobserwujecie, że w harcerstwie pozostają tylko ci, którzy mają tu prawdziwych przyjaciół.

Starajcie się więc zżyć, i wytworzyć w swojej gromadzie atmosferę prawdziwie harcerską. W miarę możności ułatwiajcie jeden drugiemu egzystencję i pracę, a będzie Wam lżej żyć. Nie będziecie widzieli żadnych przeszkód, których Wasza gromada nie mogłaby pokonać.

Z głową do góry i roześmianą „buzią" zawsze będziecie szli naprzód.

A to jest już wiele, w okresie, kiedy tyle się słyszy naokoło narzekań i widzi się tak dużo biedy i płaczu.

W. B.

Ha, Ha, Ha!

Z hotelu.

Gość: Wyprowadzam się, panie szanowny, całą noc budziły mię zęby.

Gospodarz: Oj, jakże mi przykro, tak pan cierpiał?

Gość: Nie, panie szanowny, nie bolały mię zęby, albowiem położyłem je na stoliku, ale całą noc szczękały ze zimna.

Oficer Rzeczypospolitej.

2) **Opowiadanie o pułkowniku Lisie Kuli.** **A. K.**

Skaut L s-Kula, wstąpiwszy do konspiracyjnego Strzelca niczem nie zdradza w szkole swej społecznej i wojskowej pracy. Raz tylko, w czasie wojskowych ćwiczeń uczniowskich, nie wytrzymał. . . .

Mijały długie minuty a walka pozycyjna trwała. Pan profesor Kralisz, przypomniawszy sobie oficerskie czasy, zachęcał uczniów do spokoju i dobrego celowania. „Zwycięży, kto wytrwa" — powtarzał szereg razy.

— Panie profesorze — wyrwał się wreszcie zniecierpliwiony i podniecony bezcelowem pukaniem Lis. — Z tego nic nie będzie. Nie zwycięża ten, kto leży bez ruchu! Proszę mnie dać połowę chłopców, a urządzę jaki manewr.

— Leżeć spokojnie i nie zawracać głowy — sucho odpowiedział profesor! Ale gdy Lis natarczywie prosił i objaśniał swój pomysł — nauczyciel pozwolił mu wreszcie zabrać paru kolegów i spróbować urządzić ów wątpliwy „manewr". I gdy Lis, z kilkoma kolegami ostrożnie, pełzając rowem, zmierzał do lasu, oddział cały pukał po dawnemu.

Można sobie wyobrazić zdumienie całej szkoły, gdy po pewnym czasie, na tyłach przeciwnego oddziału wyskoczyła nagle, jak z podziemi mała gromada Kuli i z głośnem „hurra" rzuciła się do ataku na wroga. Oddział profesora Kralisza samorzutnie skoczył również naprzód i, wzięty w dwa ognie nieprzyjaciel musiał się poddać.

No, no — mówił do Lisa zdumiony nauczyciel — nigdy nie myślałem, żeś ty taki!

Pan profesor Kralisz mógł się pocieszyć, że żaden z jego kolegów, ani domyślał się nawet, co reprezentował sobą ten mizerny, wysoki, o pałających oczach, uczeń.

ROZDZIAŁ III.

Legionista.

W gromach i błyskawicach szedł przez Europę sierpień 1914 roku. Dlaczegoż niema dotąd poety, któryby rok ten, przeklinany i wielbiony, uskrzydlonemi opisał słowy!

Rozkaz mobilizacyjny Związku Strzeleckiego był dla Lisa zwiastunem nadejścia wielkich chwil. Uczniak ten, bez wahania rzucający dla wymodlonej wojny siódmą klasę gimnazjum, zaznacza się odrazu, jako pierwszorzędny talent organizacyjny. Dotychczas słynął jako świetny dowódca w polu, od tych chwil zdumiewać będzie łatwością organizowania. W ciągu jednej doby zmobilizował kompanję strzelców rzeszowskich i na jej czele wyruszył do Krakowa, aby zameldować się Komendantowi Piłsudskiemu. W ciągu doby jasnem się stało, że okręg rzeszowski był jednym z najsprawniejszych i najlepiej zorganizowanych okręgów strzeleckich.

Nerwowo i szumnie mkną wielkie dni legjonów. Kielce zdobyte, Kielce stracone. Dziś Szczucin — jutro Wiślica. — A w dali majaczy Dęblin. Ofensywa!

W rozgwarze marszów i bitew, w gorączce tworzenia pułków zniknął gdzieś Lisek — siedmioklasista. W Rzeszowie był wielkością, tu — nieznany pionek. Nieznany — w sierpniu; nieznany jeszcze we wrześniu. Ale już w październiku promieniowanie jego siły ducha zdziałało swoje. Najbliżsi dowódcy wysuwają go na czoło, powierzając odpowiedzialniejsze funkcje, a wreszcie 9 października 1914 r. obdarzają go szarżą podporucznika.

Oto nadszedł papier nominacyjny. U dołu podpisy: Józef Piłsudski i szef sztabu — Sosnkowski. A z boku — pieczątka. Dziwna pieczątka, odsłaniająca całą głębię czynu legjonowego. „Rząd Narodowy — Komendant Główny" — widnieje napis w otoku.

Czytelniku! Czy dolatuje cię z napisu tego poszum 1863 roku? Czy wzruszone Twe serce dostrzega podpisy następców Traugutta? Czy zdumione oczy uderza moc przeczuwania przez tych ludzi przyszłej Polski?

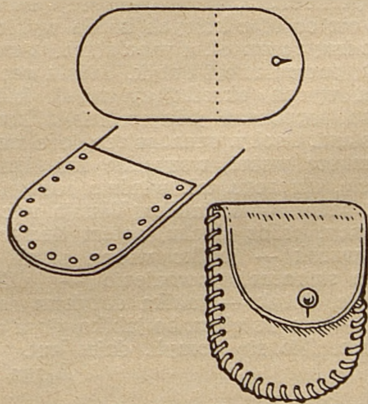
Lis czuł i dostrzegał wielkość czynu legjonowego i jako oficer I brygady daje przecudowny obraz oficera przyszłej armji polskiej.

Cóż bowiem robi świeżo upieczony podporuczniczek? Może na dumnie zadartej głowie obnosi swe młodooficerskie dostojeństwo? A może karty i kieliszek skracają bieg jego wojennych dni? Głupstwo! Niedorzeczność! Lis dopiero teraz pokazał kim jest naprawdę.

W wolnej chwili czasu.

Jeśli ci się nudzi w jesienny wieczór, wyszukaj sobie kawał miękkiej skóry ze starej torebki, szerokiego paska, lub — jeśli cię stać na to — kup sobie poprostu kawałek skóry cielęcej u szewca, a ja ci powiem co z niej zrobić.

Na pierwszym rysunku widzisz **portmonetkę.** Aby ją sporządzić, trzeba wyciąć ze skóry dwa kawałki, jeden większy, a drugi mniejszy, który trzeba ściśle do pierwszego przystosować. — Spójrz tylko na rysunek, a będziesz wiedział, jak to zrobić. Potem kolcem



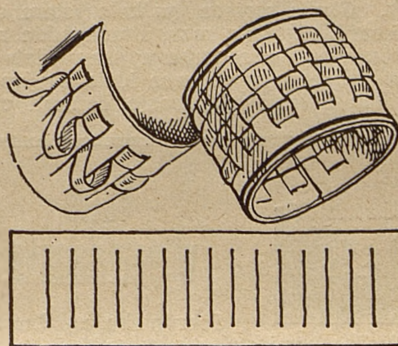
poprzebijaj odpowiednie dziurki wzdłuż brzegu złożonych razem kawałków skóry i zeszyj je, przewlekając przez dziurki wąziutki pasek skóry, lub kolorowy kordonek. W klapce wytnij podłużny otworek i przyszyj w odpowiedniem miejscu mały, okrągły guziczek. Portmonetka gotowa.

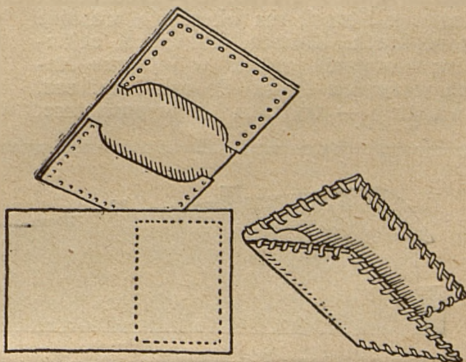
Na **portfelik** potrzeba już znacznie więcej skóry, która musi być w dodatku równa i gładka. Najpierw wytnij z niej prostokąt, potem dwa takie same kawałki, które tworzyć będą kieszonki portfelu. Kształt ich widzisz wyraźnie na rysunku. Ułożywszy równo oba kawałki skóry na skórce prostokątnej stanowiącej wierzch portfelu, przebijasz brzegi kolcem i zeszywasz paskiem skórzanym, jak przy portmonetce. Uważaj tylko, aby między kawałkami, stanowiącemi kieszenie, był odstęp 2 — 3 cm., gdyż inaczej portfel nie chciałby się domykać.

W braku skóry oba powyższe przedmioty można wykonać z grubego, gładkiego filcu, jakiego dostarczy niejeden stary kapelusz. Filc trzeba przed robotą porządnie na mokro i przez szmatkę wyprasować.

Obrączkę na serwetkę najłatwiej wykonać ze starego paska szerokości około 4 cm. Lepiej, żeby skóra użyta do tej pracy była dość sztywna. Na jedną obrączkę potrzeba nam kawałka skóry długiego na 12 cm. Pasek ten musisz równo ponacinać poprzecznie, jak to widzisz na rysunku. Uważaj tylko bardzo, abyś nie przeciął paska aż do brzegu. Gdy wykonasz tę pierwszą robotę złóż brzegi paska, aby utworzył on kształt kółka i zeszyj je mocną nicią. Następnie przygotuj sobie wąskie pasemka innej skórki: miększej i o ile możności kolorowej. Jeślibyś jej nie miał, możesz ją zastąpić kolorową, dosyć grubą i mocną tasiemką. Przygotowane pasemka skóry, czy kawałki tasiemki przewlekaj odpowiednio przez nacięcia w pasku, formującym skórzane kółko. Spójrz tylko na rysunek, a będziesz wiedział, jak to się robi. Końce pasków musisz starannie z drugiej strony zeszyć na płasko nicią. Każde kółko możesz przepleść pasemkami innego koloru.

Aby twoim skórzanym przedmiotom nadać świeżość przedmiotów nowych, kup małą flaszeczkę specjalnego lakieru do skóry (dostaniesz go w każdej drogerji) i starannie pomaluj nim sporządzone rzeczy. **T. B.**





Przedewszystkiem — jest towarzyszem żołnierzy. Jest on wprost śmieszny w swej manji stałego przebywania z żołnierzami swojej kompanji. Je z nimi; śpi z nimi; z nimi razem, zdjąwszy koszulę, tłucze wszy; gra z nimi w futbol, czyta gazety i — rozmawia. Rozmawia ciągle. W długie zimowe wieczory, w czasie marszów męczących, w czasie nudów okopowej bezczynności. Rozmawia o wszystkiem: o rodzinach, domie, o Komendancie, o wojnie, o tem — w jakim celu powstały legjony i o tem jaką będzie przyszła Polska. Zdumienie ogarnia badacza, wglądającego w ówczesne stosunki kompanijne Lisa, zdumienie nad genjalną intuicją osiemnastoletniego podporucznika, który tworzy ideał oficera-wychowawcy. Jego braterskie podejście do żołnierzy, jego współżycie umysłowe z żołnierzami stworzyło z oddziału Lisa pierwszorzędną siłę moralną. Braterstwo to wcale nie wykluczało żelaznej dyscypliny, wyczerpujących ćwiczeń i „dawania szkoły"; tylko że „szkoła" ta, robiona na wesoło, z uśmiechem również wykonywana była przez kompanje. Dowody nadzwyczajnej karności i wytrzymałości złoży ta kompanja w bitwach.

Zapewne, nie całą dobę gwarzy Lis z żołnierzami! Ma też i swoje godziny. A w godzinach tych, siłą sugestyj skautowych, pracuje nad sobą. Oto, jadąc konno na czele oddziału trzyma w ręku słownik francuski i „obkuwa" się słówek (na froncie opanował Lis całkowicie język francuski; potrafi biegle nim się posługiwać). Na długie pozycyjne bezrobocie sprowadza sobie podręczniki szkolne i, zachęciwszy kilku kolegów — siódmoklasistów, tak ostro bierze się z nimi do nauki że po kilkunastu miesiącach może wraz ze swą paczką uzyskać urlop do Rzeszowa i zdać egzamin maturalny! A po maturze zaczyna Lis okopowy uniwersytet, studjuje bowiem Kanta, zamyśla się godzinami nad tomem Spinozy, z wypiekami na twarzy czyta Nitschego. A gdy go znużą filozofowie — bierze do ręki opracowania mistrzów wojny — Moltkego, Clausewitza, Fryderyka Wielkiego (z czasem zacznie Lis wykładać na różnych przygodnych i regularnych kursach podoficerskich i oficerskich, a wykłady jego, szczególnie charakterystyki wielkich wodzów, cieszyć się będą ogromnem powodzeniem).

— Obywatel porucznik istną bibljotekę chce na froncie założyć — pokpiwał z Lisa szeregowiec Iwanek. A oficerowie brygady z przyjemnością szukają rozmów z inteligentnym, głębokim kolegą.

Życie intelektualne Kuli miało ten jeszcze dodatkowy urok, że zabarwione było odcieniem prac społecznych. Ileż to poorganizował on w okopach chórów, jaką przedziwną skompletował orkiestrę, ile nameczył się nad kursami dla, nielicznych coprawda, analfabetów jakie czasem improwizował odczyty! Aby zaś złożyć świadectwo swej wyjątkowej wszechstronności uprawiał jeszcze dodatkowo ćwiczenia sportowe, przedewszystkiem umiłowaną piłkę nożną. Każdy okres ciszy na froncie wyzyskiwał na organizowanie meczów futbolowych, wyzywając na piłkarskie boje kogo się dało: piechotę, kawalerję, artylerję. Troskę o swój klub sportowy posunął tak daleko że zdobył dla graczy nawet spodeńki sportowe i parę koszulek. Dochowała się fotografja tego dziwacznego frontowego klubu, gdzie gracze z Lisem na czele, stoją dumni ze swych 50% sportowych strojów.

Jednak najwięcej interesującą cechą gołowąsego filozofa-sportowca były jego zdolności administracyjne i gospodarcze. Gdy kiedyś, wróciwszy po parutygodniowym urlopie na front (który w międzyczasie ustabilizował się na Polesiu), zastał swą kompanję grzęznącą w błotach, przeziębłą i wymordowaną warunkami klimatycznemi, tego samego dnia jeszcze rozpoczął dawanie największej „szkoły" swoim ludziom. Cała kompanja zamieniła się na robotników ziemnych. Od świtu do nocy kopano, ścinano drzewa, szalowania. Gdy zaś o zmroku pomordowani żołnierze zasypiali kamiennym snem, Lis zostawał jeszcze na długie nocne godziny, by przy świetle świec kreślić plany budującej się „osady". Po tygodniu cały pułk schodzić się zaczynał do „wioski" Lisa, aby podziwiać wspaniałe, wygodne, nawet komfortowe ziemianki. Każda sekcja miała swą „sypialnię" i „salon", Lisowi zaś zbudowano specjalną willę „Pod Lisem". Nazwę tę łatwo wyczytać było z godła umieszczonego nad wejściem, na którem malarz kompanijny wymalował pięknego liska. Serca zaś skautowe specjalnie radować mogły liczne ozdoby — klombiki i bramki brzozowe, tak pospolite na naszych obozach. (C. d. n.)

Gry stare — gry nowe.

Nadeszła jesień, która zapędza nas nielitościwie do domu, niepozwalając nam hasać po polu. Trzeba wymyśleć sobie jakieś nowe zabawy, żeby nie nudzić się w pokoju. Oto przytaczam wam ich kilka — jedne są dla mniejszej, drugie dla większej ilości uczestników. Może spodobają się wam? Nie myślcie zresztą, że są to gry nowe. Biorę je bowiem z książki imć pana Łukasza Gołębiowskiego, wydanej w roku 1831, a więc przeszło 100 lat temu. W książce tej zresztą znalazłam całą masę gier i zabaw, będących w powszechnem obecnie używaniu — widać z tego, że pod tym względem mało się od stu laty zmieniło...

Spróbujcie więc bawić się w gry następujące:

BIERKI: Trzeba do tej gry wyciąć sobie z tektury, lub cienkiej dykty figurki, przedstawiające różne osoby, a więc króla, generała, starostę, policjanta itp. Trzeba je oczywiście odpowiednio pomalować, by łatwo można było poznać, która figurka co przedstawia. Każda z figurek ma określoną wartość w punktach. Dwuch, lub więcej chłopców, biorących udział w tej grze bierze wszystkie figurki do rąk i na: raz, dwa, trzy — wyrzuca je w powietrze, poczem każdy stara się złapać jak najgrubszą rybę, lub kilka figurek naraz. Zlicza się potem ile, który chłopak złapał punktów do garści. Jeśli który wypuścił swoją figurkę z ręki i ta dotknęła ziemi, oczywiście nic mu się nie liczy.

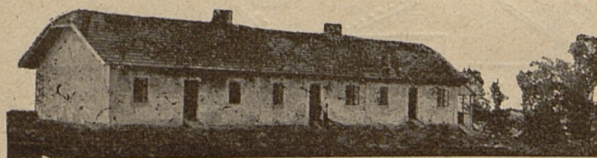
GARNUSZKI: Do gry tej stawia się dwa rzędy krzeseł tyłem do siebie. Osób musi być o jedną więcej niż krzeseł. Wszyscy zajmują miejsca, a jedna z osób obchodzi krzesła naokoło w prawą stronę. Nagle dotyka jedną z osób siedzących, która natychmiast musi się zerwać z krzesła i obie obiegają pędem rzędy krzeseł dookoła — jedna w prawą, druga w lewą stronę. Kto pierwszy dobiegnie do wolnego krzesła, zajmuje je. — Gra toczy się dalej. — A dlaczego nazywa się „garnuszki“ — spytacie? Oto autor wspomnianej książki stłuczeniem garnuszka nazywa przypadkowe usiądnięcie na ziemi, co się snadnie przy tej grze zdarzyć może...

KLAPANKA: Osoby stojące w koło trzymają w obu rękach związany sznurek. Osoba stojąca w kole stara się uderzyć kogoś po ręce, a wszystkie ręce uciekają po sznurku w prawo, lub w lewo. Uderzony po ręce idzie do środka. Pan Gołębiowski dodaje, że „w tych grach bić mocno jest nieobyczajnością“ — pamiętajcie!

MUZYKANT: Każdy z bawiących się przedstawia muzykanta, grającego na jakimś instrumencie, a więc basistę, flecistę, pianistę itp. Pierwszy skrzypek gra zarazem rolę dyrygenta. — Udaje on po kolei grę na różnych instrumentach — gdy zaczyna grać na basach, to basista musi mu zaraz wtórować itp. — Gdy dyrygent zagra na skrzypcach, wówczas musi grać cała orkiestra. Kto się zagapi i nie zacznie na czas grać, daje fanta. Dyrygent musi grę prowadzić żywo i zmieniać wciąż instrumenty, aby nie znudzić.

GRA ZMYSŁÓW: Do gry tej potrzeba 6-ciu osób, z których każda wybiera sobie innych zmysł, a więc słuch, wzrok, smak, powonienie i dotyk. Szósta osoba rzuca wyraz, określający rzecz, którą można rozpoznać jednym, lub kilkoma zmysłami. Osoby, oznaczające dane zmysły muszą wstać, wszystkie zaś tłumaczą się, dlaczego tak właśnie postąpiły. N. p. pada słowo: jabłko. Wstają wtedy wszyscy, prócz słuchu, potem tłumaczą się: wzrok — jabłko widzę, smak — jabłko smaczne, powonienie — jabłko pachnie, dotyk — jabłka dotykam się, słuch — nie wstałem, bo jabłko głosu nie wydaje. Kto się pomyli, daje fant.

Binga.



Bucze w październiku.

Schronisko na Buczu.

Bucze opanowała jesień. Nietylko ta złota i słotna, wietrzna o dniach coraz krótszych — którą macie wszyscy. Jesień ogarnęła całe nasze życie — jesień barwna, żywa, ruchliwa i radosna. Pełno jej w każdym kącie domu, pełno w „kącikach“ jaru i polany na górce. Życie Bucza płynie obecnie pod znakiem jagódek i nasionek.

„Jagódki“ i „Nasionka“ bowiem to godła dwóch gromad zuchowych przebywających obecnie na Buczu. Jar — to siedziba „Jagódek“ i „Głogów“, „Tarninek“, „Dzikich róż“ i „Trzmielinek“. — „Nasionka“, a więc „Żołędzie“ „Fasolki“, „Makówki“, „Słoneczniki“ i „Szyszki“ gnieżdżą się na górce.

Cała praca zuchowa jest w ręku drużyny instruktorskiej, złożonej z „Promyków“ i „Gwiazdek“ — przyszłych kierowniczek gromad zuchowych. Jest to t. zw. „kurs“ liczący 15 druhen ze Śląska (9), Kieleckiego (4), Mazowsza (2). Jeden zastęp dawno już wędruje po harcerskich ścieżkach; drugi — dopiero na nie wkracza.

Dzień jest dokładnie wypełniony pracą. Nawet godziny ciszy pochłonie czasem jakieś przygotowywanie zbiórki, lub bajki, która wieczorem będzie opowiedziana dużym lub małym.

Zuchy i ich kierowniczki wstają o g. 6.30 rano. To bardzo wcześnie, ale do śniadania musi być dosyć czasu i na mycie porządne i na gimnastykę i dla gromadki dyżurnej, na nakrycie do stołu i podanie śniadania. A ten pierwszy posiłek jest o g. 7,30.

Potem, przez całe 50 minut wszystkie gromadki zajęte są porządkowaniem własnych posłań sypialni i łazienek. A nie jest to praca łatwa i nie może być wykonana byle jak. Niedarmo przeznacza się na nią aż tyle czasu. Dzieci ważność tej pracy doceniają:

— Prosiłam o pomoc leśnego duszka, żeby mi pomógł ładnie posłać łóżko — mówi „Głogowa pesteczka“ po powrocie z wycieczki, na której zuchy w wykrotach drzew szukały siedzib leśnych duszków.

— A ja — żeby podłoga przez cały dzień była czysta — dodaje „Gałązka“.

Z dużem zamiłowaniem garną się dzieci do zajęć domowych — sprzątanie i dyżury w jadalni sprawiają im dużą przyjemność.

Gdy w salach jest już zupełnie porządnie, idą dzieci do szkoły — każda gromada do swojej klasy (Jagódki do III powsz., Nasionka do IV-ej), gdzie mają dwie godziny lekcyj ze swemi drużynowemi. Po drugiem śniadaniu, jeśli tylko pogoda dopisuje rozbiega się wszystko po świecie, każda gromadka dąży do swego kącika na zbiórkę. Jeśli deszcz pada, znikają zuchy w różnych zakamarkach i tajemniczych miejscach gmachu. Tak czas przedobiedni spędzają dzieci. Drużyna instruktorska jest razem z niemi z wyjątkiem godzin szkolnych: te są przeznaczone na wychowanie fizyczne i samodzielne zajęcia harcerskie. W tym też czasie odbywa się rada drużyny. Po obiedzie i ciszy jest godzina zajęć ręcznych, a więc znowu zależnie od pogody wyrywanie chwastów z ścieżek ogrodu lub zbieranie nasion, łuskanie fasoli, znaczenie bielizny, cerowanie pończoch.

I znowu gromada śpieszy do szkoły, a drużyna instruktorska na zbiórki zastępów, na biegi i ćwiczenia, podnoszące poziom wyrobienia osobistego i przygotowania metodycznego przyszłych drużynowych.

A że trzeba znać dzieci, gdy się z dziećmi pracuje, godzina poprzedzająca kolację, dowolnie spędzona przez dzieci, to właśnie dla ich kierowniczek czas obserwacji i wnioskowania.

Po kolacji, po kominku zuchowym życie gromad przenosi się do sypialni i łazienek — zwolna cichnąc.

A gdy w sypialniach zapanuje sen, — drużyna zbiera się w świetlicy lub przy kominku na tzw. Radę metodyczną, obejmującą analizę dorobku dziennego, dyskusję, czytanie wyjątków z książek pedagogicznych — lub na rady gromad, regulujące życie zewnętrzne „Nasionek“ i „Jagódek“.

Dopiero o 10-ej „Modlitwa“ i „Idzie noc“ kończą dzień drużyny instruktorskiej. Takie jest życie gromad i drużyny: a jakie były jego radości i smutki, zdobycze i przegrane, dowiecie się wówczas, gdy już inne gromady i drużyny zajmą miejsce „Nasionek“, „Jagódek“, „Promyków“ i „Gwiazdek“. A to już niedługo. Życie Bucza tętni i gdzieindziej: na granicy północnej wyrósł płot, ochrona naszego dobytku. Nad budową piwnic od kilku tygodni pracuje gromada robotników. Jednocześnie niweluje się łąki po wschodniej stronie gmachu. Plac tenisowy z ciekawością czeka na graczy. — Inwentarz żywy również zwolna się powiększa.

Przyroda szykuje się do zimowego snu — Bucze tętni życiem, młodością, śmiechem. I z miesiącem każdym przez cały długi rok, przez wszystkie lata, przybywać będzie tych, którzy we wszystkich zakątkach Polski myśleć będą o „naszem“ Buczu i ze wszystkich stron dążyć do „swojej“ Szkoły Instruktorskiej. A gdy wieczorem, bliski czy daleki, przybyszu, zbliżać się będziesz od strony Grodźca do Bucza, płonąć będzie ono światłami okien, jak wielkie, jasne i czyste ognisko.

J.

Urządzenie boiska.

Jeśli coś robić — to robić porządnie, jeśli wykonać — to solidnie! Jest taka amerykańska zasada: wykonaj lepiej niż od ciebie oczekują. Zasadę tę powinien każdy harcerz wypisać niestartemi literami w swojem „chceniu", a zawsze sprawiać będzie ludziom miłą niespodziankę, bo: wykonał lepiej, niż się spodziewano!

Piłka siatkowa. Koszykówka. Jordanka, czyli hazena — jak je urządzić?*)

Nigdy nie należy robić boisk o wymiarach „domowych", chyba, że do tego zmusza brak odpowiedniego terenu. Zawsze trzeba do zupełnie przepisowych wymiarów, z dokładnością do centymetra.

Zacznijmy od siatkówki. Teren powinien być równy. Jesień najbardziej nadaje się do równania gruntu. Każdy dołek zasypany jesienią, każdy zrównany pagórek stanie się przez zimę równym, ubitym placem, na którym tak przyjemnie jest zagrać wiosną. Więc pierwszą czynnością przy urządzaniu boisk będzie równanie terenu. Już na początku trzeba zaznaczyć, że prace ziemne są bardzo kosztowne i trudno obliczalne. Drużyna niech się nie porywa do niwelacji — lepiej mieć boisko lekko pochyłe i gładkie niż pół równego, zniwelowanego. (Pół — bo na drugą połowę nie wystarczyło czasu i cierpliwości).

Przy wygładzaniu terenu należy mocno ubijać nasypaną ziemię — tem pewniejsze będzie boisko.

Następnie wymierzamy ściśle prostokąt o wymiarach 8 m × 16 m. Granice nie powinne przekrać 5 cm. szerokości, najlepiej znaczyć je wapnem lub gipsem. Do tego celu używa się dwóch połączonych na szerokości 5 cm ze sobą listewek długości 2—3 m. — listewki przykłada się do ziemi i sypie się między nie kredę, gips lub maluje się wapnem. Jeśli boisko ma mieć granice stałe — kopiemy niegłęboki rowek również szerokości 5 cm. Niegłęboki — by gracze nie wykręcali nóg. Granice zawsze liczy się wewnątrz boiska, więc mieszczą się one w podanym przykładzie w prostokącie 8 × 16 m.

Przepołowiwszy boisko granicą rozdzielającą partje, wkopujemy słupki nazewnątrz prostokąta, przynajmniej 0.5 m. od granicy. Słupy należy wkopać b. mocno, wrzucając do dołu kamienie, cegłę i inne twarde przedmioty, a dopiero później zasypując ziemią. Słupy powinne być przepisowe: 8 cm. × 8 cm. z lekko ściętemi krawędziami. Haki do siatki na wysokości 2 m. 40 cm. od ziemi bardzo mocne i głęboko wkręcone, gwarantują pewne naciągnięcie siatki przy grze. Zakańczamy pracę dwoma kwadratami zagrywki (serw) o boku 1 m. przy prawym rogu każdej partji, pamiętając, że granice muszą być liczone wewnątrz prostokąta i powinne mieć 5 cm. szerokości. Teren dookoła boiska powinien być wolny od jakichkolwiek przeszkód, by umożliwić grającym podchwytywanie nawet dalekich piłek.

Podobnie postępujemy przy koszykówce: boisko 27 m. × 15 m., słupy bardzo mocne, głęboko i pewnie wkopane. Kosze z dobrą podpórką, tablice zupełnie gładkie bez szczelin. Bardzo przyjemnie, jeśli kosze (obręcze) mają u dołu siatkę.

Hazena, albo jordanka, wymaga jeszcze większego boiska — 48 m. × 16 m. Bramki co prawda niewielkie, bo zaledwie dwumetrowej szerokości, mają wysokość jak siatka przy siatkówce, t. zn. 2 m. 40 cm. Znów należy zwrócić uwagę na zaokrąglenie krawędzi słupów, by uniknąć nieprzyjemnego zderzenia z nimi bramkarza.

Zapewne na terenie szkoły są boiska — można je ulepszyć; czyż nie może tego podjąć się porządna drużyna harcerska, wykonywując ładny dobry uczynek? Albo przy drużynie, czyż nie mogą powstać boiska? **O. Ż.**

---

*) Do gier należy używać tylko przepisów M. W. R. i O. P.; cena każdej broszurki 30—80 gr.

Przegląd wydarzeń sportowych.

ISO-HOLLO. Pięknie brzmi nazwisko Finlandczyka, który dwukrotnie zmierzył swe siły w Warszawie z naszym Kusym - Kusocińskim, jeszcze piękniej wyglądały same zawody, które zgromadziły we wtorek 18-go paźdz., w dzień deszczowy i zimny, około 10.000 widzów.

Trzeba spokojnie przyznać, że zwycięstwo Polaka było trudne, dopiero na finiszu wysuwał się Kusociński na czoło i nie pozwalał się prześcignąć. O tem, jakie mordercze tempo potrafili rozwinąć obaj szybkobiegacze świadczy fakt, że dublowali pozostałych zawodników już w szóstem okrążeniu stadjonu, to znaczy, że prześcigali ich o całe okrążenie boiska. Mało tego — na ostatnich czterystu metrach mieli czas, prawie jak normalny człowiek na setce.

W biegu na 2 mile ang. Kusociński osiągnął czas 9.07,4 a Iso-Hollo 9.09,4. Na 5 km. czas Kusocińskiego wynosił 14 m. 41.8 a Finlandczyka 14 m. 42,2 sek.

WALASIEWICZÓWNA. Skromna zawodniczka, którą słusznie nazywają najszybszą kobietą świata, przyjechała na stałe z Ameryki do Polski, witana bardzo serdecznie przez wszystkich, którzy zdają sobie sprawę z właściwego znaczenia rzetelnie prowadzonego sportu. W parę dni po powrocie wspaniale zwyciężyła sztafetę złożoną z czterech zmieniających się biegaczek i pobiła rekord Polski na 800 m. — 2 min 24 sek. Obecnie „Stella Walsch" odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi, będzie słuchaczką Centr. Inst. Wych. Fiz. w Warszawie.

BIAŁY SPORT. Jędrzejowska i Hebda zdobyli mistrzostwo Meranu w grze mieszanej; w singlach, chociaż doszli do finałów, przegrali z przeciwnikami.

CZY PO NOWE TRIUMFY? 28-go października nasza reprezentacyjna drużyna piłkarska zmierzy swe siły w Neapolu z potęgą piłkarską, jaką są Włochy. Tegoroczny nasz bilans rozgrywek międzynarodowych jest nadzwyczaj obfity bo 12:1 opiewa stosunek bramek, jednak Włochy to nie Łotwa, ani Rumunja. Zobaczymy.

Nie można pominąć milczeniem i smutnych wypadków na terenie piłki nożnej: złamana noga jednego gracza, złamane żebra i skręt kiszek od uderzenia u drugiego, wtargnięcie rozbestwionej publiczności na boisko i pobicie graczy „bo ich pupilkowie przegrywają", a nawet strzały rewolwerowe — oto widok tego, czem może być pożyteczna i ładna gra sportowa, jeśli uprawiać ją lub przyglądać się jej będą ludzie bez wewnętrznej kultury.

CIĘŻKA ATLETYKA. Wśród zawodowców walki francuskiej, wysuwają się na czoło zapasów, prowadzonych w Poznaniu Garkawienko, Oliviera i Szteker. Jaka szkoda, że zawodowcy nie wprowadzili wzorem bokserów podziału na wagi — wyników nie potrzebaby fałszować jak obecnie na początku turnieju. Końcowe walki zwykle są prawdziwemi gdyż czołowym zawodnikom niezmiernie zależy na zwycięstwie, choćby ze względu na wysokie premje pieniężne.

NAJWYŻSZA ATLETYKA. Cóż to za nowe określenie? — Spróbujmy tak nazwać sport powietrzny, zgrupowany w Polsce w dziesięciu aeroklubach. Aerokluby kształcą pilotów szybowcowych, wydając im dyplomy pilotów kategorji A, B i C. Szybowiec kosztuje 1.000 — 3.000 zł. dostarcza go aeroklub członkom bezpłatnie. Jeśli kandydat utrzyma się w powietrzu 1 minutę — otrzymuje pierwsze zaświadczenie, później idą następne.

A możeby tak założyć aeroklub harcerski?

HARCERSKIE KLUBY SPORTOWE. Napewno istnieją. Jest ich nawet bardzo dużo, tylko — — — milczą! Milczą i nikt o nich nie słyszy.

A szkoda!...

...Szkoda.

Szkoda wielka!...

HA, HA, HA!



— Ależ nie bój się kochaneczku. Tatce nic się nie stanie! To przecież tylko zdjęcie do filmu...

*

Praktycznie.

Pani: Cóż to, Kasiu, dlaczego nie umyłaś okien?

Kasia: Umyłam, psze pani, ode środka, żeby sie pani mogła spozierać na ulice, a od ulicy tom nie myła, żeby nie zaglądały do mieszkania.

*

Turysta: Słuchajcie, gospodarzu urodził się tu w waszej okolicy jaki wielki człowiek?

Wieśniak: E, gdzieta, prosze pana, same ino dziecka sie rodzom.

Na Tropie Zuchów

Dział Wydziału Zuchów Głównej Kwatery Harcerek.

Rozpoczynając w niniejszym numerze dział żeński „Na Tropie zuchów" Wydział Zuchów Głównej Kwatery Harcerek prosi o nadsyłanie opisów, rysunków i zdjęć obrazujących życie zuchów do dh. Jadwigi Zwolakowskiej, Warszawa Wspólna 8. Pożądane są również gry, tańce, piosenki i t.p. będące twórczością gromady.

Dzikie plemię Wo-Wa-Bi.



W miejscu, gdzie lśniące i drgające wody bystrej Leśnicy ściekają po kamienistem łożu do równie bystrej i czystej Brennicy, gdzie grzbiet Starego Gronia zniża się i znika, pozwalając się łączyć dwu beskidzkim dolinom, na tle lasu i olbrzymiej jasno - zielonej łąki, przy białej drodze stoi nowy obszerny i jasny budynek. Napis nad bramą frontową głosi, iż jest to: Szkoła powszechna w Brennej.

Na początku lata 1932 r. szkoła ta stała jeszcze pustką. Świecącemi oczami szyb, spoglądała na okolicę, jakby czekając na gości, którzy przybyć mieli. Dnia jednego, gdy żar słoneczny gryzł i zamieniał w pył nawierzchnię białej drogi, ciągnącej w górę doliny, nadjechał od strony Skoczowa, napchany i napełniony we wszystkich kątach wewnątrz i zewnątrz, żarłoczny autobus. Zatrzymał się on uprzejmie przed szkołą i wysypał z siebie dwadzieścia jeden małych istotek, w szarych sukienkach, z rozmaitych barw kokardami i całą moc małych i dużych, ciężkich i lekkich walizek, koszyków i paczek. Ciekawość malowała się na twarzach chłopców i dziewczynek, którzy, jak i nadmieniać nie potrzeba, dość już mieli całej podróży z Krakowa do Skoczowa i dalej, żaru słońca i wyczekiwania.

Po kilku dniach Zuchy Krakowskie, bo one to były, rozgospodarowały się na dobre w salach szkolnych, w lesie, na łące nad Brennicą. Dobrze było zuchom w lesie, ale powiem Wam w sekrecie: nic te dzieci ciekawego nie robiły.

*

Od lasu szedł rzeźwy wiew. Korony drzew wzywały: na łów, do czynu, pracy, w czeluści dzikich gąszcz, gdzie łuk, gdzie strzała coś znaczy, gdzie straszny mieszka wąż . . . Zew lasu został zrozumiany. Zuchy stały się dzikiem plemieniem. Trzy jego szczepy nazwy Wo, Wa i Bi przybrały. Dzień zmienił się od szczytu aż do stóp. Czarny Kruk z plemienia Wo wymalował pięknie porządek dnia, który był codzień przy tam-tam (rodzaj odprawy) powtarzany. Noże wojowników zaprzestały próżniactwa. Nad brzegiem dzikich wód rosły bujnie wikliny. Giętkie, mocne, a długie ich gałązki posłużyły szczepom do zbudowania wigwamów. Plemię Wo zbudowało nad brzegiem Leśnicy szałas stożkowy, Wa — wigwam podłużny kształtu dwuspadkowego dachu, zaś Bi, najmłodsze plemię, chatę uwiło okrągłą. U wyjść zawisły łuki, przed wyjściami zaś ustawiono kręgi z kamieni w liczbie równej ilości wojowników szczepu. W środku zaś kręgu przygotowano miejsca na ogniska. Uważam, że najwięcej należy podziwiać dzieło plemienia Bi — najmłodszego. Wigwam ich nie był może najpiękniejszy, ale był w lesie, las zaś był na zboczu wzgórza, a krąg rady przytoczony w górę z dna potoku. Nadto plemię to miało jeszcze jedną osobliwość: każdy wojownik obok swojego kamienia zasadził sobie paproć okazałą. Jestem pewna, że gdyby nie to, że było to już dwadzieścia kilka nocy po dniu św. Jana, paproć ta byłaby zakwitła. — Wojownicy przygotowali sobie z piór i barwnej bibuły wspaniałe dzikie stroje. Ćwiczyli się ochoczo w strzałach z łuku. Aż nadszedł dzień uroczysty: Święto ognia. Trzydziestego zachodu słońca po najkrótszej nocy, skoro już zaróżowiły się od zorzy wieczornej wody Brennicy, zapłonęły trzy „kwiaty czerwone" — ogniska — przed wigwamami. Dzikie plemiona odtańczyły swe tańce i odśpiewały pieśni.

Później obrano wodza. Wódz najmniejszy wzrostem, najdzielniejszy był pewno ze wszystkich. Czarne jego oczka błyszczały bardzo mocno, gdy przy blasku ognia obiecywał szczerze: „Na tygrysy, lwy, lamparty poprowadzę dziki lud" i wołał:

„Hej, za łuki bracia moi
Niechaj się nikt lwa nie boi,
Lew jest słabszy, niźli wódz!"

Nie dziwota. Zwał się Niedźwiedzie Serce, choć czasem ktoś przez pomyłkę wołał nań: Kaziku!

Dobrze było tym Wo - Wa - Bi - tom w Brennej. Dzień mieli zapełniony. Głos piszczałki, wzywający do codziennych zajęć zawsze, myślę, odzywał się zawcześnie, przerywając strzelanie z łuku, sadzenie palm przed wigwamami, czy też celowanie do tarczy, na której była rękami samych Wo - Wa - Bi wymalowana wspaniała głowa Indjanina.

Nadszedł nakoniec dzień ostatni, bardzo uroczysty. O tym dniu chciałabym Wam coś opowiedzieć, bo to nielada był dzień! Było tak: Wszyscy już zdawna wiedzieli, że coś się gotuje i wszędzie wielki był porządek. Od rana już dnia tego wszystko się cieszyło, bo po dniach długiego deszczu, który zmuszał wojowników do ozdabiania świetlicy, chmury wreszcie rozproszyły się w zupełności, a słońce na wigwamach osuszało rosę. Od południa już Wo - Wa - Bi - ci przybrali się w odświętne swe stroje i uzbroili w tomahawki, najnowszą zdobycz swych rąk, wyczekując niecierpliwie chwili uroczystości. Wieść o tej chwili rozeszła się szeroko po okolicy, bardzo szeroko, bo dotarła aż do Bucza na Międzynarodową Konferencję Skautek, odległego od Brennej o 8 km. Rzecz naturalna, wieść ta nie mogła zostać bez echa. Niedługo zajechało przed szkołę auto, wioząc gości z Konferencji. Wo-Wa - Bi nie wiedzieli, co czynić z radości. Na łączce popod lasem zebrało się plemię. Druhny zastępowe, t. j. „zaprzyjaźnione blade twarze" przyniosły z sobą wspaniałe oznaki przynależności plemiennej: maszyjniki z kory i jarzębiny z medaljonami z kory, na których wyryto głowę prawdziwego Indjanina. Nastąpiło uroczyste rozdanie oznak, poczem plemię radośnie zatańczyło swój tan. Mała „Kiki, dzikich ludzi córka" i wódz i całe plemię — tańczyli i mówili swoje wiersze. Potem były trzy próby zręczności i opanowania: celowanie kamieniami do tarczy, strzelanie z łuku oraz dzika rakieta (dziki wrzask, który na znak momentalnie się wstrzymuje). A potem nastąpił moment najuroczystszy: złożenie z wyciągniętemi rączkami obietnicy zuchowej, rozdanie gwiazdek i oznak, zdobytych sprawności.

Miłych gości pożegnali Wo - Wa - Bi-ci śpiewem. Co goretszy wojownik ofiarowywał swój maszyjnik i swój tomahawk tak, iż auto odjechało bogato udekorowane.

Skoro słońce zaszło, skończył się Wo-Wa - Bi - tów dzień ostatni i najpiękniejszy. Odtąd żyje już tylko pamięć dzielnego plemienia.

L. Stankiewiczówna.

Konkurs rysunkowy.

Wydział Zuchów Głównej Kwatery Harcerek ogłasza **konkurs rysunkowy dla zuchów.**

Udział biorą wszystkie gromady Z. H. P., nadsyłając 10 rysunków, wykonanych samodzielnie przez zuchy.

Każdy poszczególny zuch może dać nie więcej, niż trzy rysunki na dowolnie wybrane tematy. Prace nadsyłać do 25. listopada br. do Głównej Kwatery Harcerek, Warszawa, Myśliwiecka 3-5.

Format rysunku — kartka zeszytowa. Pod obrazkiem powinien być umieszczony tytuł, na odwrocie imię, nazwisko, godło, wiek, gwiazdka zucha, nazwa gromady. Rysunki mogą być wykonane techniką dowolną. Tematy rysunków:

1) **ilustracja poszczególnego punktu prawa zuchów,**
2) **ilustracja, obrazująca zajęcia i zabawy zuchów na zbiórkach, wycieczkach, na kolonji,**
3) **ilustracja bajki lub opowiadania, słyszanego na zbiórce (drużynowa załącza tekst).**

Nagrody - pamiątki konkursu: pudełko z farbami, obrazek do izby itp.



Gödöllö

Hrabia Paweł Teleky, Komendant Obozu Czwartego Jamboree wyraził się, że nadchodzący zlot skautów całego świata jest wielką manifestacją przeciw kryzysowi. I z tego, co o przygotowaniach czytamy i słyszymy widzi się jasno słuszność jego słów: będzie to najwspanialej wyposażone Jamboree z pośród wszystkich dotychczasowych. Może nietyle w zasoby pieniężne, co w ilość młodzieży, która się nań wybiera, w wielkość i różnorodność imprez, jakie się odbędą, w rozmiary planowego wysiłku, jaki wkładają weń gospodarze.

Wystarczy przyglądnąć się choćby jednemu z przygotowywanych działów, żeby wyrobić sobie pogląd na to, jak wspaniale będzie musiała wyglądać całość. Weźmy np. pod uwagę organizację służby bezpieczeństwa.

Na mocy specjalnego rozporządzenia tereny parku byłych królów węgierskich są na czas trwania Jamboree eksterytorjalne, to znaczy, że korzystają z tych samych przywilejów co gmachy poselstw w stolicach obcych państw. Krajowa służba bezpieczeństwa może się tam znajdować jedynie w charakterze gości. Ktoś jednak nad bezpieczeństwem musi czuwać. To też od roku już pod kierownictwem najwybitniejszych instruktorów policji ćwiczy się 600 skautów w zaprawie do pełnienia obowiązków służby bezpieczeństwa. Nasz budapesztański korespondent, Vörösvary, pisze, że szef służby bezpieczeństwa, doskonale władający polskim językiem kapitan Borsiczky, już teraz może się poszczycić swym oddziałem, który obeznał się już dokładnie z wszelkiemi policyjnemi i socjalnemi urządzeniami Budapesztu.

Porządek będą utrzymywały posterunki i patrole. Dla zapewnienia połączenia w obrębie samego ogromnego obozu z jednej a obozu z Budapesztem i innemi miastami z drugiej strony zainstalowano cztery zwykłe, miejskie, i 10 polowych linij telefonicznych, dwa specjalne aparaty radjowe, gołębie pocztowe, tresowane psy, a ponadto 3 samoloty. Pozatem 50 skautów pełni służbę na koniach, a 20 na motocyklach.

Każdy milicjant musi znać conajmniej jeden obcy język; przeprowadza się więc kursy angielskiego, francuskiego i polskiego. Są też ćwiczenia w służbie sanitarnej i ratowniczej. Dwa oddziały po 24 ludzi tworzy straż pożarną, wyposażoną w najnowsze zdobycze techniki pożarniczej.

Tak wygląda przygotowanie jednego działu organizacji zlotu. A wszystkich jest ich 13!

Gödölö leży w odległości 28 km od Budapesztu, z którym łączy je dwutorowa linja kolejowa dwie linje kolejki elektrycznej i 3 autostrady z b. często kursującemi autobusami.

W obozie zainstalowano wszelkie możliwe urządzenia — a więc urząd pocztowy z telegrafem i telefonem, szpital, park dla aut, oświetlenie elektryczne, wodociągi itd.

Jamboree rozpocznie się 31 lipca przybyciem skautów węgierskich. Od 1 — 3 lipca zjeżdżają reprezentacje zagraniczne. Z dotychczasowych zgłoszeń widać, że liczba zagraniczników przekracza 30 tysięcy. Z samej Anglji przybędzie ponad 4.500 skautów. Niema już ani jednej organizacji zarejestrowanej w Międzynarodowem Biurze Skautowem, któraby nie zgłosiła swego przybycia. O ile napływ cudzoziemców odpowie zgłoszeniom, duża ilość Węgrów będzie musiała przenieść się z parku do t. zw. obozów pomocniczych, położonych poza nim.

Podobnie jak wspomniany obóz pomocniczy poza parkiem w odległości paru kilometrów robite będą namioty dla lotników szybowcowych, między któremi znajdą się i nasi. Oto szereg harcerzy ze Śląska szkoli się już od dawna w Polichnie i podobno będą mieli nawet własny szybowiec. — W obozie szybowcowym będzie urządzona wystawa modeli aparatów lotniczych.

Tak jak to było w Anglji w 1929 roku przewidywane są popisy na stadjonie, w teatrze i przy ogniskach obozowych. Będą to popisy skautowe folklorystyczne i z wychow. fizycznego. Jeśli już piszę o wychowaniu fizycznem, to muszę dodać, że na specjalnie urządzonym placu sportowym, czego w Anglji nie było, będą mogły poszczególne reprezentacje przeprowadzać zawody w wszelkiego rodzaju rozgrywkach.

Nie wystarczy mieć dostateczną ilość pieniędzy, by już móc pojechać na Jamboree. Trzeba być prócz tego wyrobionym harcerzem, bo inaczej trudno myśleć, byśmy mogli wystawić zastępy do „biegu harcerskiego", jaki będzie zaaranżowany w czasie trwania Jamboree, a w skład którego wejdzie też 1-dniowa wycieczka.

Trudno mi pisać o wszystkiem — wspomnę jeszcze tylko, że będzie tam i kino obozowe i wystawa literatury skautowej i pismo obozowe i szereg zebrań. Odbędzie się też równocześnie Międzynarodowa konferencja Skautowa i wiele innych imprez.

W końcu muszę wspomnieć o dwukrotnych popisach skautów wodnych na Dunaju i 2 wycieczkach w których każdy uczestnik będzie miał możność wziąć udział, gdyż koszta ich przewidziane są w ogólnej opłacie za 2 tygodnie pobytu (około 95 złotych).

Na odprawie Komendantów Chorągwi, która odbyła się w dniu 16 bm. w Warszawie, zdecydowano, że harcerstwo wyjeżdża w ilości około 1.500 osób. — Cyfra prowizorycznych zgłoszeń już przekroczyła 1.300. — Największe grupy zamierzają wysłać Warszawa, Poznań i Kraków. — Na czele wyprawy stanął osobiście Naczelnik Głównej Kwatery Harcerzy Dh. Antoni Olbromski.

W najbliższym czasie przyniesie „Na Tropie" dalsze szczegóły.

Redaktor ma głos.

Francja prosi o książki! Pomóżcie polskim drużynom we Francji, których praca ogromnie jest utrudniona z powodu zupełnego braku książek. Najlepszym „dobrym uczynkiem" waszym będzie, jeśli poślecie jakiekolwiek książki harcerskie pod adresem: Jadwiga Nawojska, La Ricamarie, Montrel (Loire) Francja. **Harcerki!** Dziewczęta polskie z Francji chcą nawiązać z Wami korespondencję — napiszcie do nich pod wyżej podanym adresem.

J. Moczułajtys, Francja: Pismo do Biblioteki będziemy posyłać. Artykuł zatrzymujemy w tece redakcyjnej. Prosimy o krótkie notatki z życia tamtejszej młodzieży — szczególnie harcerskiej.

Dhna Ł. Jahnsówna, Niemcy: Specjalnego pisma żeńskiej młodzieży harc. niema w Polsce. „Na Tropie" jest zarówno dla chłopców, jak i dla dziewcząt. Posyłamy numer okazowy — na samym końcu są podane warunki prenumeraty. Prosimy bardzo o krótkie wzmianki z życia harcerek w Niemczech. Czy w Lipsku jest polska drużyna?

Dh. A. Gendek: Kliszę drukarską odstąpimy Wam za 50% kosztów własnych tj. 2 zł. 50 gr. i koszta przesyłki 30 gr. — razem 2 zł. 80 gr. Numery „N. T." ze stycznia są całkowicie wyczerpane. Inne posyłamy Wam.

Dh. E. Kowalczyk: Umieściliśmy już poprzednie sprawozdanie a dwa razy do jednego tematu wracać nie możemy — Przyślijcie coś nowego, to zamieścimy.

Dhna Irka P. z Oświęcimia: Dziękujemy za miły list i prosimy o dalsze wiadomości z Waszej pracy.

Dh. R. Nowak: Zamówienie Wasze przekazaliśmy do K. D. H. Artykuł prosimy przysłać — czy go zamieścimy, nie możemy „na niewidziane" zadecydować, choć temat interesuje nas. Pamiętajcie tylko, że „N. T." to pismo dla młodzieży nie można więc pisać zbyt trudno.

Dh. Wilczek, Bytom: Na drugi raz nie czekajcie, aż ktoś za Was poda do „N. T." Wiadomości — wiecie przecież, że łamy naszego pisma są dla Was zawsze otwarte. O zaproszeniach nic nie pisaliśmy — chętnie natomiast przyjmujemy do wiadomości, że na Zlocie w Zimięcicach obecnych było 252 uczestników, a nie 200, jak to podaliśmy.

Dh. Sporysz. Czekamy z rysunkami na krótki opis obozu w Łomnej. Nadeślijcie. Wiadomość o drużynie damy w następnym numerze.

Na harcerskim szlaku.

DZIEŃ CHŁOPCA urządził obóz połączonych drużyn męskich z Bielszowic. W dniu tym wzięło udział około 100 chłopców z okolicznych wiosek. (E. K.)

„WĘGLIKI“ z I. ż. drużyny katowickiej spędziły niedawno 1½ dnia na Buczu gdzie przeprowadzały ćwiczenia w zakresie stopnia samarytanki. (Em. Pe).

AUDYCJĘ RADJOWĄ urządziła z końcem września V. m. dr. warszawska. Na program złożyły się: wspomnienia z pobytu w obozie, wygłoszone przez prof. J. Roztafińskiego, opiekuna drużyny: odprawa drużyny, prowadzona przez drużynowego dha H. Dąbrowskiego oraz pieśni, odśpiewane przez chłopców.

Wywczasy (Nadesłał Ciszewski)



Harcerki z Oświęcimia.

„TAK MIŁO spędziłam tegoroczne wakacje na kolonji harc., że umyśliłam posłać Redakcji garść wspomnień...“ pisze jedna z Druhen z Oświęcimia. Chociaż najgorętsze marzenia spędzenia wakacji pod namiotem nie spełniło się, kolonja przyniosła jej uczestniczkom moc niezapomnianych wrażeń. Wieczorne ogniska alarmi, ćwiczenia, wycieczki, oto wspomnienia, któremi długo jeszcze będą żyć harcerki z Oświęcimia. (I. P.)

HALLO! RADJO POLSKIE, KATOWICE! Dnia 29 bm. o godz. 18,55 Radjo Polskie w Katowicach nada 20-to minutowy odczyt dha H. Kapiszewskiego na temat: „Wyniki harcerskiej propagandy zagranicą“.

„ZARZEWIE“ wezwało swoich członków do możliwie jaknajściślejszej współpracy z Harcerstwem. „Zarzewie“ było stowarzyszeniem, w którem pracował późniejszy twórca skautingu polskiego Andrzej Małkowski. Jak wiadomo Małkowski otrzymał od władz tego związku polecenie zapoznania się z ideą i metodami skautingu ang., co dało początek naszemu Harcerstwu. (Ki.)

TURNIEJ SZACHOWY przeprowadza męski Hufiec w Katowicach. (W.)

„DOM HARCERZA“ zbudowany wyłącznie przez harcerzy — jest własnością 3. D. H. M. w Poznaniu. Drużyna ta, rekrutująca się z młodzieży rzemieślniczej i szkół powsz., należy do najuboższych drużyn Poznania. W domu tym znajduje się harcówka i salka ze sceną, która w ostatnim czasie została przerobiona i urządzona. Z przedstawień, odbytych na tej scenie w roku ubiegłym, uzbierał się fundusik, który posłuży do odnowienia domu nazewnątrz. — Niema co! Dzielni są ci Poznaniacy! (D. P.)

LADY BADEN POWELL i inne uczestniczki Międzynar. Konf. zwiedzały w Pieninach obóz harcerek z Nowego Sącza i z zainteresowaniem przyglądały się zainscenizowanej przez Sądeczanki legendzie o św. Kindze. Akcja letnia N. Sącza nie ograniczyła się na tym jednym obozie — odbyła się również kolonja zuchów, 7 druhen ukończyło kurs W. F., 4 — kurs dla drużynowych, 2 — kurs druż. zuchów i 1 — harc. kurs P. W. Pracę w nowym roku szkolnym rozpoczął hufiec Mszą św. i wieczornem ogniskiem, w którem wzięło również udział starsze społeczeństwo. Hufiec ż. w Nowym Sączu liczy obecnie 310 druhen. (S. P.)

DWIE TONĄCE DZIEWCZYNKI uratował od śmierci harcerz A. Jabłoński, członek J. D. H. w Grudziądzu. Jabłoński znajdował się na plaży w chwili, gdy usłyszał krzyk tonących w Wiśle dziewczynek. Bez namysłu rzucił się do wody i z trudem zdołał obie dziewczynki przyholować do brzegu. Prasa miejscowa z uznaniem podkreśliła dzielny czyn chłopca.

6.800 GROBÓW, tj. wszystkie, jakie są na cmentarzu wojskowym, oświetlą i ozdobią w Dzień Zaduszny harcerki warszawskie. Każda harcerka musi zrobić 10 lampioników do których ma także wystarać się o świece.

KWATERY I AMUNICJĘ do karabinów wojskowych otrzymają uczestnicy V. Harc. Zw. Zawodów Strzeleckich — bezpłatnie. Również część kosztów amunicji małokalibrowej pokryje Wydział P. W. przy G. K. H. Zawody powyższe odbędą się — jak to już donosiliśmy — od 30. X. — 1. XI. włącznie w Warszawie. (M. S.)

MYŚLIWIECKA 3/5 oto nowy adres naszych władz naczelnych, a więc Naczelnictwa oraz Głównych Kwater Harcerek i Harcerzy. Lokal to obszerny 7 pokojowy — z komfortem jak to się mówi, w porównaniu z dotychczasowym na Zielnej. Dawny lokal zajęła Komenda Chorągwi Warszawskiej.

ŚP. DH. STANISŁAW PAWĘSKA, — harcerz Rp., członek D. H. im. T. Kościuszki w Białymstoku zmarł po ciężkiej chorobie w dniu 20. IX. br. Harcerze białostoccy odprowadzili go gremjalnie na miejsce wiecznego spoczynku.. Spoczywaj Druhu w spokoju! (K.)

UWAGA! Klisza na str. 7-mej, przedstawiająca portfel i kółko do serwetki złośliwie odwróciła się do góry nogami. Czytając więc artykuł „W wolnej chwili czasu“ umieścić ją sobie w wyobraźni w odpowiedni sposób.

*

SPROSTOWANIE. W nrze 15-tym na str. 9 zakradła się w podpisie pod ilustracjami pomyłka. Mianowicie p. 5. ma brzmieć „czeremcha“, a nie „wilcze łyko“.



Reprezentacja Zw. H. P. na zawodach Strzelecko-Łucznych.

Prenumerata „Na Tropie“: z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1,80 zł., miesięcznie 80 groszy. Cena numeru 40 groszy. Prenumerata roczna łącznie z dod. „Zastępowy“ 7 zł. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. **Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski“. Konto w PKO. Katowice Nr. 305.330.**

W skład Komitetu Redakcyjnego wchodzą: O. Grzbielowa M. Kapiszewska, Z. Tworkowska, J. Wierzbiańska, W. Bublewski, J. Grzbiela, H. Kapiszewski, St. Kapiszewski, M. Wierzbiański, O. Żawrocki. — „Na Tropie Zuchów“ redagują: dział żeński J. Zwolakowska, dział męski A. Kamiński.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o. Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.